NUMER 6. DNIA 5. LUTEGO 1905 ROKU. ROK XIII.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

# LIS.

— Idź-że przynieś co dzieciskom, widzisz, że głodne — rzekła lisica chłopu swojemu, który się iskał, siedząc na przyjamiu.

Obejrzał się niełado na nią, poczem złagodziły mu się oczy, gdy je powlókł po lisiętach, tarzających się u kolan matki.

— Tu i człowiek-by nie nastarczył — począł mruczeć. — Dopierom wczora przyniósł gęś, musiałech za wodę po nią chodzić, i już nie staje. Jak tak bedziecie gazdować, to sie dogazdujecie niewesołego końca, przepowiadam. Teraz o żywinę coraz trudniej, ludzie stali sie postrożni...

— Nie bajdurz — przerwała mu lisica — ino sie zbier z te ziemie i idź poszukać co, bo wnet bedzie połednie.

Lis się przeciągnął i, ziewając, spojrzał okiem w górę.

— O, jeszcze słonko nie wyszło nad Gronie...

— Tak gadaj — szczeknęła lisica, złemi oczami patrząc — tak gadaj, że ci sie nie chce. Wolałbyś leżeć. Całymi dniami byś leżał. A żywina sama spadnie jak szyszka, pod nogi. Możebyś chciał jeszcze, żeby ja z dzieciskami znosiła ci pod nos wszystko — co? pański byś miał żywot.

— Et, nie trzeszczałabyś... Co ty wiesz, kielo sie trza nałazić, zanim sie co zdybie.

— A ty byś chciał, żeby ci samo do gardła wpadło. Letkobyś se chciał żyć. Ruszysz sie nareszcie, czy nie, ty płowy psie?! Może ja mam iść, a ty sie za mamkę najmiesz? Postarałeś sie o dzieciska, to sie teraz trap!

— Znam już, znam tę letanię...

Dźwignął się pomału i poszedł, nie chcąc słuchać dalszego trzeszczenia.

— Ino se wiedz, żebyś próżno nie wracał! — leciało za nim.

— Dobrze, dobrze! — mruczał, idąc — nima to, jak nakazować. Ozorem obyrtnąć, i już. Poco ja sie też żenił? Jakech był sam, to i znalazłech co, tom znalazł, a nie, to nie — to mi nikt z pyskem nie dojeżdżał. Było, tom zjadł — a nie, tom sie zaszył w gąszcz i przespałech dzień cały. Nikto mi poza uszy nie skowyścił.

Szedł jakiś czas, zgryziony, i wcale nic nie myślał (stan u rodu jego dość częsty, wbrew twierdzeniom oszczerców), poczem znowu naszły go różne uczucia.

— Marne to lisie życie — biadał. — Szczęśliwy człowiek! Ten se u siebie w domu kury chowa...

Naraz przyszło mu do głowy:

— Czyby sie też i u nas nie chowały? Trza spróbować... Żeby to dostać parę żywych... Jużbych sie ofiarował dzień pościć na tę intencję. Ba, kiedy strasznie mdłe — zaraz w łapach zdycha, choćbyś ją i najdelikatniej ujął pazdurami...

Idąc, rozmyślał nad tym pomysłem i uśmiechał się do tego widoku, jaki mu wyobraźnia przedstawiała.

...Pasą się koło jamy. Pasie ich się cały kerdel. Czarne, białawe, siemieniate... Dzieciska swawolą z niemi — niby straszą je, jak koty młode, ale żadne się nie śmie tknąć. Ociec zakazał. A on se leży na przyjamiu i cieszy oczy tym obrazkiem.

— Żeby sie jeno chciały chować!... Ale coby nie chciały? — pocieszał się. — Wytłómaczy sie im, że i ludzie nie lepsi i nie dla ładnych piórek je chowają. A poszanowania nigdzie takiego by nie miały. Z miłością-by sie koło nich chodziło... Ino jak wytrzymać, coby sie ich nie tknąć? Człowiek potrafi, bo cóż, i trawę może jeść...

Dla zaokrąglenia tych przedumywań dodał se jeszcze w myśli:

— Trzeba bedzie ten pomysł przemyśleć przy czasie. A tymczasem musi sie jeszcze starego zażywać sposobu...

Zatrzymał i począł się zastanawiać, w którą stronę się udać. Za wodą wczora był, to tam pewnie dziś strzegą.

— Dziwnie nieprzewidujący ludzie...

Najporęczniej byłoby do chałup pod lasem, ale dużo niebezpiecznie, za blizko jamy. Trzymał się starej zasady, i ludziom znanej: „Lis koło swojej nory nigdy kur nie dusi“. Od pradziadów ród jego w tej okolicy mieszkający trzymał się tej zasady; jak z tamtej strony góry miał osiedle, to tu chodził polować — a jak zaś tu się sadowił, to po tamtej stronie polował. Wszystko zaś na to, aby człeka zmylić, gdyby chciał swoich szkód rzekomych dochodzić na lisim rodzie. Tę zasadę jakiś pra lis z przezorności mądrej ustanowił, i potomkowie jego trzymali się jej święcie, choć, odkąd ludzie o niej się zwiedzieli, nie miała już praktycznie żadnego znaczenia. Była to tradycyjna przezorność — bez waloru. Więc i nasz poczciwy lis nie myślał zmieniać zwyczaju: że tu osiedle miał — postanowił iść na tamtą stronę. — Daleko wprawdzie, bo trza obejść kołem całą górę i drugą stroną wrócić, ale widoki są...

Podumawszy niedużo, wybrał drogę dłuższą przez przylaski, aby się niepotrzebnie z nikim nie spotykać. Długą chwilę biegł w ciszy — las poczynał już rzednieć — w tem zatrzymał go szmer; pojrzy w górę, bo szmer oczami prawie umiał łapać, i widzi wiewiórkę czarną, jak se siedzi na drzewie i pluje z wysoka, życząc mu „szczęśliwych łowów“.

— Dałby ja ci „szczęśliwych łowów“! — mruknął — żebyś nie była tak wysoko...

Udał, że coś sobie koło ogona poprawia, aby zaś nie myślała, iże się dla niej zatrzymał, poczem spokojnie ruszył dalej.

Idąc, myślał z powodu tego wypadku:

— Poco też Pan Bóg niektórym stworzeniom dał taki talant, że mogą po drzewach chodzić, abo i w powietrzu latać. Jak i jastrząb... ten mi kurę, com ją upatrzył sam, z przed nosa weźmie — i leć że za nim! niesprawiedliwość na tym świecie...

Ale wnet przestał bawić się myślami, bo już przylaski się zwężały, trzeba było baczyć pilnie na wszystkie strony. Przytem, biegnąc, z przyzwyczajenia raczej niż z umysłu zazierał pod jałowce, czy tam zając gdzie nie spi albo jaka żywina skrzydlata. Ale nic ciekawego po drodze nie zauważył.

Skoro przylaski się skończyły, pomykał dalej potokiem, a wreszcie i potok się urwał, trzeba było potoczkami podkradać się nieśmiało ku górze. Ostatni z tych potoczków tracił się prawie pod osiedlem. Długo też w nim u końca nasz lis się namyślał, nim się odważył wyjść na równe pole. Naprzód oczyma zwiedził otoczenie, poczem słuch posłał wokoło na zwiady — i skoro nic znikąd nie zauważył niedobrego, ostrożnie wyszedł na widok.

(Dok. nast.)

---

# Śladami piękna.

*(O dra Jana S. Zubrzyckiego „Zwięzłej historji sztuki“.)*

(Dokończenie.)

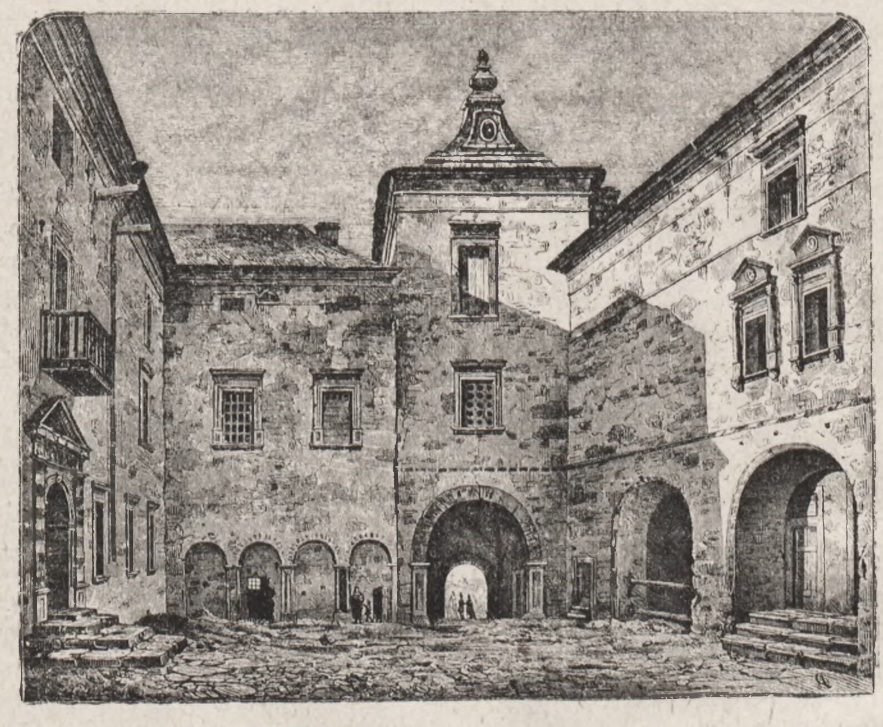
Architektura świecka renesansowa, zostawiła liczne i wspaniałe pomniki, zwłaszcza pałace i zamki magnackie, które znowu autor sumarycznie wymienia, podając wyobrażenia co najciekawszych. Przytaczamy z tych rycin wyobrażenie zamku w Olesku, który jako miejsce urodzenia dwu królów naszych: Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego, a zarazem jako piękny zabytek renesansowego budownictwa, otoczony jest opieką kraju.

Z innych świeckich budowli, reprodukowanych w znacznej liczbie w książce dra Zubrzyckiego, przytoczyć warto jeszcze bramę wjazdową Sobieskiego w Czernelicy, zabytek bardzo ciekawy, ale niestety nie otoczony dostateczną opieką.

Rozkwit renesansu w Polsce schodzi się okresem wybujania szlachty ponad wszystkie inne stany. W szczególności stan mieszczański trzyma się już w XVI. i XVII. wieku tradycją tylko dawnej siły, ale i ta tradycja w większych zwłaszcza miastach polskich jak Kraków, Lwów i Warszawa poszczycić się może mieszczaństwem, które pod żadnym względem nie stało niżej od szlachty, a patrjotyzmem, nauką, cywilizacją, bogactwem wreszcie niejednokrotnie ją przewyższało. Stąd też obok pałaców i zamków magnackich, godnie stają domy i kamienice mieszczańskie, a nawet obok tych zamków i pałaców stanowią jedyne niemal zabytki budownictwa świeckiego, bo dwory średnio szlacheckie, przeważnie drewniane, w niewielkiej się liczbie do naszych czasów przechowały. W rozdziałach o świe

ckiej architekturze i rzeźbie znalazł autor wiele sposobności do omawiania przechowanych dotychczas zabytków, a z ilustracji domy na rynku miasta Kaźmierza, których reprodukcję podajemy, najlepiej charakteryzują ten typ budownictwa mieszczańskiego.

W historji sztuki polskiej, malarstwo i muzyka nie zajmują kart najwybitniejszych, a więc i w książce i wątpliwości, ażali dzieło takie, jak „Zwięzła historja sztuki“, tak pojęte i tak zestawione, wyżłobi odpowiednią bruzdę w mózgu naszego społeczeństwa? Jest w tych pytaniach i wątpliwościach trochę żalu za tem, co dr. Zubrzycki mógł jeszcze powiedzieć, dla dopełnienia obrazu, a nie powiedział, trzymając się ściśle zakreślonych ram, i pojęcia „zwięzłości“ zapowiedzianego zaraz w tytule, a jest także poczu-



„ŚLADAMI PIĘKNA“: ZAMEK W OLESKU.

dra Zubrzyckiego mało się stosunkowo dla nich miejsca znalazło, tyle jednak, że zawsze starczy na wyrobienie sobie pewnego poglądu i na stwierdzenie, że i w tych gałęziach sztuki Polska w okresie politycznego rozkwitu nie o wiele została w tyle po za innymi narodami. Z tego rozdziału „Zwięzłej historji szuki“ przytaczamy reprodukcję mniej znanego obrazu Bacciarellego „Napoleon nadający konstytucję Księstwu warszawskiemu“.

„Sztuka bez miecza idzie i zwycięża — niosąc przed sobą sztandar ideału“. Tymi słowy Gawalewicza kończy autor „Zwięzłą historję sztuki“, tą myślą żegna się z czytelnikiem u progu czasów najnowszych, gdzie sztuka polska naprawdę idzie między narody i zwycięża niechętnych, tym, którzy zapomnieli, przypomina imię Polski, świadectwo daje życia i rozwoju naszemu narodowi.

Z zamknięciem ostatniej karty książki dra Zubrzyckiego nasuwa się czytelnikowi szereg pytań cie potrzeby krzewienia wiekuistych pojęć piękna w społeczeństwie, które nie zawsze nawet umie uszanować pamiątki swojej wiekowej kultury. Ale książka jest tem, czem ją chce mieć autor, i z tem się liczyć wypada koniecznie. Jeżeli więc dr. Zubrzycki pragnął podać czytelnikowi niejako „pogląd z lotu ptaka“ na obszerne dziedziny sztuki z uwypukleniem tego, co swojskie i nasze, jeżeli chciał przed nim roztoczyć kalejdoskop różnobarwny, z przewagą barw narodowych, to przyznać trzeba, że mu się to w zupełności udało. Obok „Zwięzłej historji sztuki“ znajdzie się i znaleźć się co rychlej powinno miejsce na cały szereg dzieł pokrewnego rodzaju, któreby, odpowiadając duchowi chwili, niosły w najszersze warstwy zrozumienie piękna i „sztandar ideału“, ale że w tym przyszłym szeregu książka dra Zubrzyckiego jest jednem z nielicznych dotąd ogniw — to pewna.

*Fr. Jaw.*

# Langiewicz o swej kampanji powstańczej.

(LIST DO ŁUDWIKA BULEWSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

Skoro się stało widocznem, że się musimy obywać bez podstawy operacyjnej, bez komunikacji zabezpieczonych, bez stałych warsztatów i magazynów; skorośmy nie mogli mieć ani czasu ani miejsca do wyrabiania armji regularnej, trzeba było operacjom wojennym wytknąć cele odmienne od tych, jakie przepisuje sztuka wojskowa i zarazem chwytać się odrębnej metody wojowania.

Przedewszystkiem trzeba było egzystować, powiększać się i wywołać ogólne powstanie, któreby swemi masami w krótkim czasie zgniotło wszystkie odosobnione oddziały moskiewskie, prócz załóg Warszawy i fortec. Potem dopiero można prowadzić wojnę wedle utartych prawideł sztuki wojskowej.

Oto główniejsze środki, którymi zamierzałem dojść do celu; środki wprawdzie żwawo zaimprowizowane, ale które i dzisiaj jeszcze po kilkutygodniowym spokojnem rozważaniu uważam za najwłaściwsze, szczególniej wobec armji z niewolników złożonej i trzymającej się ślepo regulaminów i instrukcji, naturalnie nie mogących obejmować wszystkich możliwych przypadków.

Obozowanie musiało mieć na celu tylko wypoczynek i zaopatrzenie się w najniezbędniejszy materjał wojenny. Regułą musiał być obóz leśny, bo w nim żołnierz hartował się i najżwawiej wyrabiał się na wojownika; w nim najdłużej mogliśmy ukrywać naszą liczbę i naszą pozycję, liczbę ogni, łudzić nieprzyjaciela, najdłużej zatajać czas i kierunek nowego pochodu. Pozycja dlań musiała być taką, iżby sam grunt każdemu żołnierzowi wskazywał, gdzie się ma ustawić i w którą stronę ma odbywać odwrót. Leże wiejskie i miejskie miały mieć miejsce, skoro niedostatkiem, zimnem i trudami żołnierz się wycieńczył, lub skoro można i potrzeba amunicję robić, kosy osadzać, broń i rynsztunki wojskowe sporządzać. Kilkudniowy pobyt w mieście przynosił tę korzyść, że ludność okoliczna bezpośrednio nas widząc i z nami się stykając, coraz więcej się ośmielała i liczniej do naszych szeregów wstępowała. Ale z drugiej strony nasz młody żołnierz w mieście utracał przymioty i przywyknienia, jakie się w biwakach, w marszach i bojach wyrabiały; w leżach miejskich trudniej nam było sformować się do boju, a nadto moglibyśmy być nagle otoczeni i prawdopodobnie zniszczeni, bo nasza służba bezpieczeństwa była bardzo niedostateczną, a ludność mało jeszcze skłonną do udzielania nam wiadomości o poruszeniach nieprzyjacielskich. Przeciw obozowi miejskiemu nieprzyjaciel żwawo mógł skoncentrować artylerję, kawalerję i piechotę na wozach. Do obozu zaś leśnego nawet piechota nieprzyjacielska utrudniony miała przystęp, a faktyczna wartość kawalerji i artylerji zwykle bardzo malała albo nikła. W końcu obozowiska nasze jak najczęściej musiały się zmieniać, już to ażeby jak największą część ludności naocznie przekonywać o naszem istnieniu, już to ażeby kolumny nieprzyjacielskie przeciw nam operu-

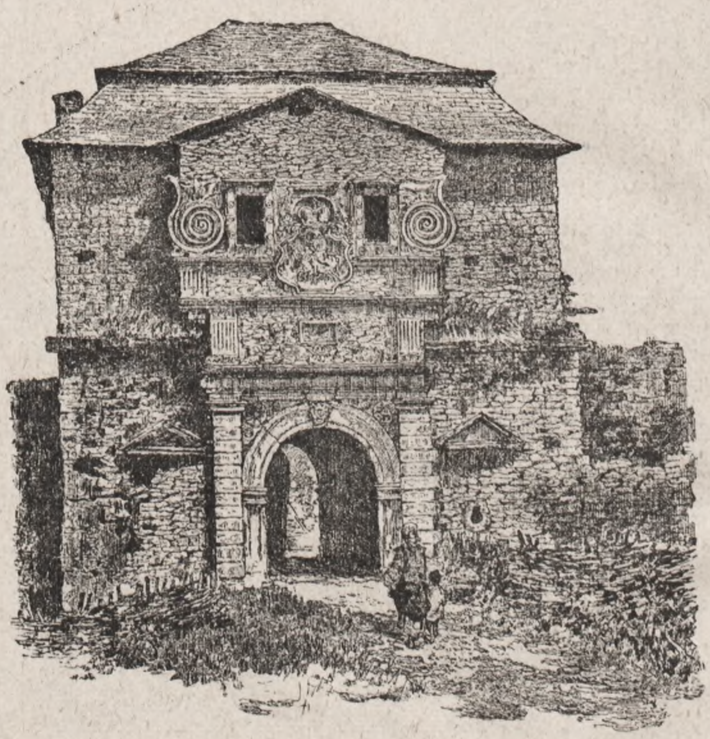


„ŚLADAMI PIĘKNA“ NAPOLEON, NADAJĄCY KONSTYTUCJĘ KSIĘSTWU WARSZAWSKIEMU.

jące nużyć marszami, już też ażeby zyskać na czasie. Albowiem nieprzyjacielskie kolumny zwykle dośrodkowo przeciw nam operując, za każdą zmianą naszej pozycyi na nowo musiały się pomiędzy sobą porozumiewać i po wielkich łukach maszerować, ażeby odzyskać kierunek dośrodkowy.

Z wszystkich operacji powstańczych nasze marsze pewnie najmniej były zrozumiałemi dla każdego, kto je oceniać będzie wedle prawideł sztuki wojskowej. Ale też, jeżelibyśmy chcieli wojować wedle znanej taktyki i strategji, nie wolno nam powstania wcale rozpoczynać. Bez wątpienia, nie zdobędziemy sobie uznania akademji wojskowych, ale każdemu narodowi ujarzmionemu przekaże nasza wojna dużo doświadczenia i tę pocieszającą naukę, że wolność i niepodległość tylko od jego woli zależą.

Celem naszych marszów nie mogło być zajmowanie strategicznych lub taktycznych pozycji ważnych w sensie wojny regularnej. Jako tako ważne punkta zajęte były przez wojska moskiewskie. Zdobyć je siłą, zwłaszcza bez artylerji, było prawie niepodobnem, a przynajmniej bardzo mało korzystnem, bo zajętych nie byliśmy w stanie utrzymać. Największa siła mego korpusiku nie dochodziła 2000 ludzi, licząc w to nieuzbrojonych jeszcze; najznaczniejszem bogactwem amunicyjnem były 8000 naboi. Moskale zaś przeciw każdemu miejscu, którebyśmy chcieli trzymać, najdalej w 6. dniach skoncentrować byli w stanie 13.000 żołnierzy z 16. działami i z odległości 1.500 kroków samym ogniem działowym zniszczyć wszystkie nasze siły. Marszów, zagrażających flankom lub tyłom kolumn nieprzyjacielskich, także nie można było wykonywać, bo nasza służba rekonesansowa była tylko pozorną a każda kolumna moskiewska we wszystkich kierunkach swoich miała bezpieczną podstawę w miastach garnizonowych.

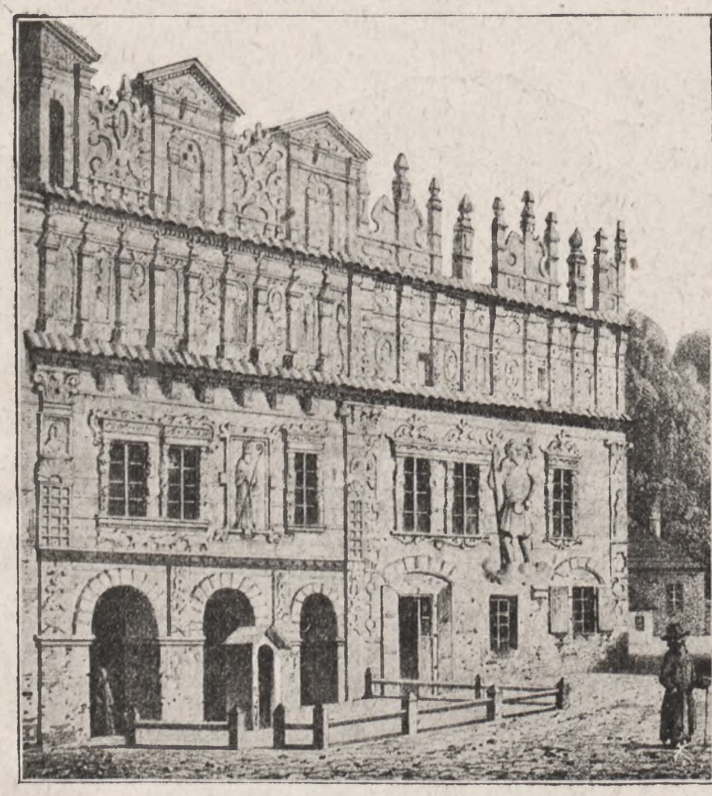

„ŚLADAMI PIĘKNA“: BRAMA SOBIESKIEGO W CZERNELICY.

Nasze pochody musiały mieć na oku przedewszystkiem własne bezpieczeństwo i propagandę powstańczą, stąd ich kierunek i szyk często dziwaczny na pozór. Maszerowaliśmy, ażeby nieprzyjacielskie kolumny, chcące nas otoczyć, nużyć marszami; ażeby niepokoić garnizony; ażeby zająć korzystniejsze miejsce dla boju, jeżeli tenże zdawał się być bliskim; ażeby dla żadnej okolicy nie być zbyt długo ciężarem; ażeby znów innej okolicy pokazywać nasze istnienie; ażeby zrestaurować stan moralny młodego wojska, które się nadweręża obozowaniem dłuższem, aniżeli dla wypoczynku koniecznie jest potrzeba.

Co do dróg, gdzie pojedyńczy koń, lub dwoje ludzi obok siebie mogli iść, tam prawie zawsze mogliśmy maszerować, stąd wielka trudność ścigania nas. Kierunek drogi bardzo starannie musiał być obmyślanym, ażeby mieć dogodną pozycję do boju, gdziekolwiek nagle spotkamy się z nieprzyjacielem. Dla tego względu często odbywaliśmy marsze trzy razy nawet dłuższe, aniżeli po innej drodze było potrzeba. Dla umniejszenia niebezpieczeństwa w czasie marszu, jakoteż dla złudzenia nieprzyjaciela, małe oddziały w przeciwnych kierunkach alarmowały garnizony moskiewskie i w przeciwnych stronach zamawialiśmy żywność i furaże, którycheśmy użyć ani nie chcieli, ani nie mogli. O ile mogłem, starałem się w nocy przybywać na miejsce nowego obozu, bo, chociaż takim sposobem mieliśmy więcej niewygód, nie potrzebowaliśmy się obawiać nocnego ataku.

Szykiem marszu najwięcej byliśmy podobni do wojska regularnego, ale nasza kolumna bywała 4, a nawet 6 razy dłuższą, i nasze bronie znacznie częściej się pomiędzy sobą odmieniały, aniżeli jest przepisane, ażeby utrudnić otaksowanie tak całości, jak i stosunku naszej broni. (Jeżeli miałem 1.800 ludzi, taksowano mię na 12.000). — Jeżeli nieprzy-

jaciela spodziewałem się w pobliżu, czas wymarszu i droga pozostawały moją wyłączną tajemnicą; wtedy jechałem razem z przewodnikiem przy ostatecznej straży przedniej, skoro z tej strony mógł atak nastąpić: znajdowałem się zaś w środku kolumny lub u tylnej straży, jeżeli nieprzyjaciel zbliżał się z boku lub tyłu. Raporta bowiem ordynansów nie dostarczały dostatecznego wyobrażenia ani o nieprzyjacielu, ani o topografji; trzeba było samemu orjentować się. Nadto, w razie nagłego spotkania się z nieprzyjacielem, żołnierze biegli ku miejscu, w którem się znajdowałem, tak więc żwawem formowaniem się i śmiałością postawy, zyskiwaliśmy moralną przewagę. Zbliżając się do miejsca dla nowego obozowiska, z kilku oficerami jechałem na przodzie, ażeby prędkim wyborem pozycji przyspieszyć spoczynek żołnierza.



„ŚLADAMI PIĘKNA“: DOMY W RYNKU M. KAZIMIERZA.

Nasze marsze, bywały zwykle żwawemi, bo grunt bardzo mało stawiał przeszkód, a żołnierz był lekki: nosił broń, ubiór aż nadto lekki; torbę płócienną, zwykle próżną. — Tylko wozy były nam wielką zawadą; ich liczba wzrastała, im więcej upływało czasu od ostatniej walki. Umiano tak je ładować, że na każdym były rynsztunki wojskowe, lub żywność lub furaże; wzmagała się liczba chorych i słabych, których nie można było opuszczać, boby byli wpadli w ręce Moskali. Do ścisłej rewizji wozów sam nie miałem dosyć czasu, a oficerowie protegowali ten ciężar, ażeby żołnierzowi dać więcej wygody. Dlatego w czasie boju zostawiałem wozy, oprócz amunicyjnego, któryśmy rzadko posiadali, bez straży i na takiej pozycji, ażeby wpadły w ręce nieprzyjacielskie, albo uciekły do domów. Podczas gdy nasze walki były przedewszystkiem odporne, nasze marsze były często zuchwałemi i wyzywającemi; nieraz wykonaliśmy nocny marsz flankowy na 300 kroków od wedet nieprzyjacielskich. Udaną agressją trzeba było zakrywać niezdolność do boju, wynikającą z braku amunicji.

Nasze walki swym celem i szykiem były prawie najbardziej anormalnemi. O zdobywaniu lub dłuższem bronieniu pozycji, o zadawaniu wielkich klęsk nieprzyjacielowi, nie mogło być mowy. My musieli się bić, ażeby egzystować, ażeby ludność ośmielić do łączenia się z powstaniem, ażeby siebie samych zaprawiać do wojny, ażeby nieprzyjaciela kruszyć kawałkami, ażeby zdobywać na nim broń broń i amunicję, ażeby zachowywać i powiększać jego mniemanie o powadze sił powstańczych. Wprawdzie, choć żołnierz nie był wymusztrowany, a rzeczywistych oficerów bardzo brakowało, przedbojowe ustawienie się w szyku wedle prawideł taktyki było możliwem, jeżeli czas na to pozwalał, ale w takim szyku niepodobna było walczyć. Nasza jazda nie była jeszcze zdolną do szarży, do ewolucji, do utrzymania szyku w ogniu, trzeba ją było ukrywać przed strzałami i tylko w rzadkich chwilach używać do demonstracji; zaledwie 30 koni można było sformować do porządnego ataku i to na małą odległość. Kosynjerzy, nasza broń najliczniejsza, usposobieni są prawie wyłącznie do boju odpornego na kilka kroków. Ustawiać ich w otwartem polu, czy to w linji, czy w kolumnie, czy w czworoboku, jest z nich robić tarczę strzelecką.

(Dok. nast.)

# Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Flisaki rozpalili ogniska na tratwach, i jęli się kucharskiej sztuki, ale ja nie miał o tem najmniejszego pojęcia a lubo miałem, (dzięki uczciwej sąsiadzie) niezgorszą leguminę, nie wiedziałem jak się brać do tego.

Miejsce obrałem sobie na głowie, na jałowym rogu, bom słyszał, że tu lżejsza będzie praca, a chłopczyna byłem natedy nie bardzo zdolny.

Przednik, dumna sztuka, coś niby pan kapral przy wojsku, zmierzył mię od stóp do głów, a widząc, że nie umiem się brać ani do kuchni, ani do innej posługi żeglarskiej, zapytał mię: „a coś ty jeszcze fryc“? — Ano juźcić, odrzekłem nieśmiało. „A pocożeś ty rzeźnickie dziecko wlazł na głowę, nie mogłeś to iść na cal, na jałowego? Czegoż się gapisz, a opatrzyłeś czy są „źbile“ w „śrykówkach“, a walców i „strzałek*) nie mógłbyś se uciosać“?

Nie znając takich nazwisk, nie rozumiałem czego ta osoba, rodem tak jak i retman z Ulanowa, chce odemnie, dopiero sąsiad, stary oryl, mnie objaśnił i pokazał jak się co nazywa. Nazwy te, przyszły od nas od Niemców, jak później, czytając Klonowicza, dowiedziałem się.

Oto co on pisał w swym Flisie o tych cudacznych nazwach:

„A te przezwiska od Niemców są wzięte,
A w polskich flisów porządek przyjęte.
Nie dziwujże nam, że źle wymawiamy
Co z Niemiec mamy“.

---

*) Przyrządy do śrykowania, na których się śryk opiera.

Kupiec czyli „frochciarz“, przybywszy na nasz odpływ na tratwy, częstował flisów obrzydliwą wódką, który to poczęstunek zwą oryle „wódka odkładna“, a życząc nam szczęśliwej drogi wrócił do Korczyna, my zaś wyjechaliśmy na Wisłę.

Mój Boże dobry, ile ta rzeka spławiła majątku na sobie do Gdańska, ile lasów uniosła w zamorskie krainy, ile soli, gipsu, popiołu i t. p. bogactw nią spławiono, póki nie pobudowano kolei żelaznych, które zadały cios orylce!

I nasze tratewki wysznurowały się na wodzie niby dzikie kaczusie, a przed niemi zdaleka na maleńkim, z jednego drewna wyciosanym czółenku jechał retman, stary ćwik wodny, a nieco bliżej tratew jego pomocnik podmajstrzy.

Retman ma w łódce spory pęk prętów chróstowych, którymi znaczy drogę dla tratew. Gdzie jest woda głęboka to wbija, czyli „ryje“ kół w piasek, a ten zwą flisacy „zielony“, a tu gdzie woda jest płytka, to taki sam kół ryje, ale go na wierzchu łamie. Kół ten, tak wbity na miałkiej wodzie, czyli na „haku“ zowie się „złamany“.

Wisła, począwszy od Opatowca, kręci się i wije jak wąż, toć trzeba się dobrze było na tak olbrzymich tratwach wywijać, aby nie „uryć na lądа“ czyli jak tu się mówi: nie wjechać na świnię. Aby tego uniknąć muszą nieborzęta oryle robić drygawkami nie głupio, a często przerzucać się z tratwą od jednego brzegu na drugi, co się nazywa: „oblać tratwę“. Czynność ta daje się się uczuć najwięcej tym, co są na calu tratwy i dlatego każdy na „głowę“ ucieka.

*Jakób Bojko.*

(C. d. n.)

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

KSIĄŻKI. *Dr. Władysław Witwicki. Analiza psychologiczna objawów woli.* We Lwowie, Towarzystwo dla popierania nauki polskiej.

Jedna z najciekawszych książek, jakie „Towarzystwo dla popierania nauki polskiej“ wydało. Autor bowiem rozwięzuje jednę z najbardziej piekących kwestji psychologicznych: problemat woli. Chodzi autorowi o to, czy objawy woli, tj. postanowienia, są zjawiskami psychicznemi s u i g e n e r i s, (jak twierdzi np. Meinong) czy też dadzą się sprowadzić do innych elementów psychicznych. Większa część pracy dra Witwickiego, poświęcona jest rozpatrywaniu rozmaitych teorji woli, od Arystotelesa aż do najnowszych czasów. Autor rozbiera szczegółowo teorję Arystotelesa (której opracowanie samo dla siebie jest zamkniętą całością i daje prawdziwy wzór metody badania naukowego), teorję Herbarta, Lotzego, Volkmanna, Wundta, Külpego, Laasa, Baumanna, Ehrenfelsa, Schwartza, Pfändera, Brentana, Lippsa i Ribota. Rozprawiwszy się obszernie i wyczerpująco z teorjami woli powyższych uczonych, zaczyna dr. Witwicki rzecz „ab ovo“.

Wykazawszy, że postanowienia nie dadzą się sprowadzić ani do pożądań, (jak to czyni Höfler), ani do uczuć, stawia dr. Witwicki własną teorję pożądań i woli. Pożądania czyli pragnienia dzieli autor na a) niepewne, b) pewne, że tak i c) pewne, że nie; przytem wykazuje na licznych przykładach, że pragnienia nie są elementami psychicznymi, lecz konglomeratami wrażeń, uczuć i sądów. Objawy zaś woli, czyli postanowienia są wedle autora pewnego rodza-

ju sądami; mianowicie sądami „o własnem przyszłem działaniu“. Ostatni ustęp dzieła poświęca autor dowodzeniu, iż wszystkie istotne cechy sądów dadzą się odnaleźć w postanowieniach.

Takie jest rozwiązanie kwestji odrębnego charakteru objawów woli w dziele dra Witwickiego. Odpada więc czwarta grupa zjawisk duchowych, a „kwestja wolności woli, staje się kwestją wolności sądów“.

Praca dra Witwickiego może służyć za wzór metody i ścisłości. Warto jednak zwrócić uwagę i na pewne cechy stylu dra Witwickiego, które tak są rzadkie w naszych pracach naukowych. Jest to usilne dążenie do prostoty i jasności wykładu i języka. Styl autora ma dlatego prawdziwy urok, a książkę czyta się jednym tchem i odrazu. Dr Witwicki hołduje tej zasadzie, że rzeczy zawikłane należy jak najjaśniej tłumaczyć, i jak najprościej wyrażać. Ale są ludzie tacy, którzy ponoś inaczej myślą. Ci powinni książkę omawianą przeczytać.

*Teodor Mianowski.*

WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE.

— Hoeffding H. Zasady etyki, przełożyła dr. Z. Daszyńska. Wydanie II. Warszawa 1905.

— Łopaciński Hieronim. Ślady powodzi u nas, w historji, archeologji, języku, przysłowiach, podaniach, piśmiennictwie i sztuce. Warszawa 1905.

— Ohr. Jerzy. Polszczyzna w żargonie żydowskim. Warszawa 1905.

— Penzig Rudolf. Jak odpowiadać na pytania dziecięce. Z drugiego poprawionego i powiększonego wydania niemieckiego, Warszawa 1905.

— Nakładem Księgarni Naukowej wychodzi w zeszytach tłómaczenie Sull'ego Jakóba p. t. Psychologja wychowawcza. Przekładu dokonała p. Aniela Szycówna.

## ZAPISKI.

*Wystawa ukraińska.* Otwarta tymi dniami w lwowskim salonie Latoura wystawa obrazów ukraińskich artystów, artystycznej rzeźby w drzewie huculskich majstrów i „ukraińskich płacht“ przedstawia skromny, ale charakterystyczny i ciekawy dorobek sztuki narodowej ruskiej. Narodowa zaś jest ta sztuka nietylko z tego względu, że wzięli w niej udział artyści ruscy wyłącznie, ale i z tego powodu, że mało w niej treści i tematów międzynarodowych, a przeważają przedstawienia scen z życia ludu ruskiego. Tyczy się to głównie obrazów, boć oczywista rzeźby i płachty stanowią dla siebie same sztukę ludową.

Z artystów malarzy wziął najwybitniejszy udział w wystawie p. Iwan Trusz. Artysta to wielki, zbyt dobrze znany i publiczności polskiej, aby nadmieniać, że wystawa skończenie pięknych jego obrazków nadaje całemu przedsięwzięciu wystawowemu największej wartości. Szkice z okolic Krymu, malowane przez p. Trusza z genjalnem wprost odczuciem przyrody i jej nastrojów stanowią, każdy dla siebie, małe arcydzieła, a niedawne są jeszcze zachwyty krytyki polskiej nad nimi, gdy obrazy te wystawione były w lwowskiem Tow. sztuk pięknych.

Obrazy innych artystów mają różną wartość, która jednoczy się jedynie w odtwarzaniu życia ludu ruskiego. Bardzo pięknym jest n. p. obraz Focieja Krasickiego z Kijowa, p. t. „Gość z Zaporoża“, gorszym już duży, jaskrawo kolorowy portret Atanazego Szeptyckiego, malowany przez p. Sosenkę Modesta z Krechowiec, obrazy p. Makuszeńki Iwana z Petersburga chwytają za serce sentymentem sielankowym, a z dzieł p. Buraczoka z Kijowa jedne tylko „Burzany“ zwracają uwagę nastrojem pełnym światła i przestrzeni.

Druga część wystawy składa się z rzeźbionych w drzewie wyrobów Mehedeniuka Jurka z Riczki, Jakybiuka Wasyla z Kryworiwni, Honduraka z Jaworowa, Semaniuka Iwana z Peczeniżyna, Tarantiuka Karola z Nadwórny i niewymienionego w katalogu Romana Kutasza z Trościańca, o którym pisał niedawno dr. Grochowski w „Tygodniu.“

Najciekawsze zaś i najliczniejsze wyroby są Wasyla, Mikoły i Fedia Skryblaków z Jaworowa. Jest to rodzina rzeźbiarzy, która po ojcu swoim Jerzym Skryblaku odziedziczyła talent i rozwinęła go zwłaszcza w kierunku dekoracyjnym, do ostatecznych, rzec można granic. Mosiądzem i paciorkami nabijane desenie, na sprzętach do użytku codziennego służących, budzą podziw pracowitością i gustem swego wykonania. Jest jedna tylko rzecz, która nuży oko, przypatrujące się dłużej tym wyrobom, a mianowicie przeładowanie ozdobami. Skryblakowie nie zostawiają ani jednego miejsca bez deseniów i ozdób, a wiadomo przecież, że każdy ornament musi mieć wolne obramienie, jeżeli ma wogóle robić zamierzone wrażenie. Lepszy już pod tym względem gust miał ojciec ich wymieniony Jura Skryblak, którego kilka rzeźb, dla porównania, wystawiono równocześnie. *Fr. Jaw.*

*Do życiorysu sztycharza.* Jednym z najznakomitszych sztycharzy lwowskich i malarzy z końca XVI. i początku XVIII. w. jest Jan Ziarnko, który pozyskał sobie europejską sławę. Dziś jego dzieła należą do największych rzadkości, a posiadają je tylko najbogatsze zbiory zagraniczne, z krajowych zaś tylko niektóre, jak np. Bibljoteka Pawlikowskich i Muzeum Narodowe. Również ciemnym jest i życiorys tego artysty, o którym wiemy tylko tyle, co podaje E. Rastawiecki w „Słowniku malarzy“ i rytowników polskich. Rodzina Ziarnków była we Lwowie bardzo liczną, gniazdem jej była kamienica t. z. „Ziarnkowska“, która stała na placu dziś Trybunalskim, a może ciekawym będzie fakt, że obok Jana, co do którego imienia niema żadnej wątpliwości, gdyż podpisywał się niem na swoich dziełach, żył równocześnie we Lwowie drugi malarz z tej samej prawdopodobnie rodziny, Marcin Ziarnko, którego genealogję zawierają „Acta consularja“ lwowskie z r. 1604. Mianowicie w roku owym „Sabbato post festum sti Bartholomei“ jawią się przed urzędem radzieckim lwowskim Szymon Kinosz uździennik i Tomasz Lixt stolarz i poświadczają, że malarz (pictor) Marcin Ziarnko pochodzi z uczciwych i pobożnych rodziców Marcina i Anny Ziarnków stolarzy, obywateli lwowskich wyznania rzymsko katolickiego. Poświadczenie to potrzebne było widać Marcinowi Ziarnce, do otrzymania prawa miejskiego we Lwowie.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika. 15.